

PIOTR STRZEŻYSZ
POWIDOKI



Bezdroża

Autor tekstu: Piotr Strzeżysz

Fotografia na okładce: Piotr Strzeżysz

Redaktor prowadzący: Agnieszka Krawczyk

Redakcja: Sandra Trela

Skład: Dawid Kwoka

Projekt okładki: Jan Paluch

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<http://bezdroza.pl/user/opinie/?bepow1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzje.

Wydanie I

ISBN: 978-83-283-0071-2

Copyright © Piotr Strzeżysz, 2014

Copyright © Helion, 2014

• **Kup książkę**
• **Poleć książkę**

• **Oceń książkę**
• **Księgarnia internetowa**

• **Lubię to!**
Nasza społeczność

PIOTR STRZEŻYSZ
POWIDOKI



Bezdroża

Kup książkę

Poleć książkę

Kup książkę

Poleć książkę

Należał do tych, którzy włóczyli się po drogach. Jedni wędrowali po całym kraju, inni trzymali się swoich rejonów. Nazywano ich włóczykami, jak bezpańskie psy, dzikie koty i wędrowne ptaki. Coś ich uprawiało w ruch, coś ich napędzało. Każda droga niosła z sobą paru. Jak niepokój.

E. Rynell, *Hohaj*

| Dla Ali

Kup książkę

Poleć książkę

Kup książkę

Poleć książkę

Wstęp

Jak daleko sięgam pamięcią, powroty o zmierzchu zawsze budziły we mnie szczególny rodzaj melancholii, zmieszanej z czymś, co trudno określić, a jeszcze trudniej opisać – w sposób niedoskonały można by to nazwać świadomością rozdwojonego pragnienia: z jednej strony już rodzącej się tęsknoty za miejscem, które się porzuca, przygodą, która się kończy, z drugiej – radością odnalezienia miejsca, do którego się wraca, w którym może ktoś czeka, gdzie pali się ogień, stoi trzcinowy fotel, gdzie otwarta i położona grzbietem do góry leży na stole książka. Kiedy wyruszam w powrotną drogę, zawsze wydaje mi się, że pozostawiam za sobą puste miejsce – czy tego chcę, czy nie, na zawsze już ze mną związane.

A. Wodnicki, Camargue

Podobno w podróży najważniejszy jest powrót. Ten pierwszy krok na progu domu, kiedy wracamy po dłuższej nieobecności, kiedy na nowo scalamy własną osobowość. Podróż jest przecież w pewnym sensie rozpadem, zagubieniem siebie, dezintegracją, ale jednocześnie jest też poszukiwaniem, wciąż od nowa, każdego dnia, w codziennie podejmowanym wysiłku odpowiedzi na różne pytania – nawet jeśli nigdy nie były one wypowiedziane ani nawet pomyślane, choć może dzięki temu zdają się

bardziej rzeczywiste. Kiedy nikt mnie nie pyta – mam wrażenie, że znam odpowiedź, ale gdy tylko ktoś zadaje pytanie – gubię się, uciekają mi słowa i znaczenia.

Jesień owego roku długo nie chciała odejść. Od dwóch miesięcy po opuszczeniu Alaski jechałem skąpany w jej kolorowym świetle odbijającym się od miękko opadających liści, które nawet na ziemi ciągle jeszcze promieniowały ciepłem. Momentami wydawało mi się, że pedałuję popychany niewidzialną ręką i że to wcale nie ja wybieram kierunek, tylko wiatr.

Ten dzień, kiedy wydarzyło się to, o czym chcę napisać, od samego początku był trochę dziwny i raczej nietypowy. Obudziłem się o wiele później niż zazwyczaj, a potem długo zwlekałem, aby ruszyć. W powietrzu czułem pewien niepokój, choć oczywiście wtedy nie potrafiłem określić jego źródła. Nawet kiedy już złożyłem namiot i byłem gotowy do drogi, coś ciągle jakby trzymało mnie w miejscu.

Jeszcze podczas śniadania moją uwagę przykuła pajęczyna, na której unosiły się maleńkie krople wody, rozedrgane w słabym, porannym wietrze. Patrzyłem na nie, rozpoznając siebie w każdej z nich – zwiłokrotniego, sklonowanego na delikatnej, powłóczystej przestrzeni pajęczej sieci. Nie wiem dlaczego, ale nie mogłem przestać się w nie wpatrywać, byłem zahipnotyzowany widokiem osiadającej na delikatnych nitkach mgły, która niemal niewidoczna dokoła, przepoczwarzyła się i pochowała w przezroczystych kokonach miniaturowych kropeł. Im bardziej się do nich zbliżałem, tym wyraźniej widziałem w nich swoją wynaturzoną, powiększającą się postać. Chuchałem na nie, chciałem dotknąć ustami, posmakować, zaplatać się cały, ale wiedziałem, że jeśli się spotkamy, natychmiast rozpadną się wszystkie, razem z chroniącą je misternie utkaną materią, a wraz z ich zniknięciem nie będzie też mnie.

Zauroczony pejzażem i pozostając w mglistym niepokoju, który nie miał zamiaru opaść, ruszyłem leniwie na południe. Minąłem Carnation, niewielkie, urokliwe miasteczko, gdzie nie dałem się zaprosić na trwające od kilku dni siedemdziesiąte urodziny brodatego mężczyzny, który

przedstawił się jako Kapitan Kurczak, a potem, choć było mi to zupełnie nie po drodze, wjechałem do Fall City. Właśnie tak – do miejscowości o nazwie „Upadek”. Dlaczego skręciłem z głównej drogi w prawo zamiast jechać prosto? Nie wiem. Najłatwiej byłoby napisać, że samo się skręciło. Na dobrą sprawę dokładnie tak było. Samo się skręciło.

Przejeżdżałem obok niskich zabudowań, kiedy po lewej stronie drogi moją uwagę przykuł mężczyzna zachowujący się w sposób co najmniej dziwny, a na pewno nietypowy. Podskakując na jednej nodze, wydawał z siebie bełkotliwe, nieartykułowane dźwięki i wymachiwał przy tym wielkim kijem, jakby odpierał ataki niewidocznego przeciwnika. Nieszkodliwy wariat, pomyślałem, na ułamek sekundy chwytając jego zawieszzone na mnie spojrzenie. Być może odwzajemniłbym się uśmiechem albo może nawet po przyjacielsku pomachał, gdyby nie nagły wstrząs, chwilowy zawrót głowy, po którym, kompletnie zaskoczony, ocknąłem się na ziemi.

Nie wiem, co się stało, ani w jaki sposób. Na drodze nie było żadnej dziury, wykrotu, przeszkody, niczego, co mogłoby tłumaczyć upadek – a jednak stałem obok przewróconego roweru, z promieniującym od lewego kolana, nasilającym się, przenikliwym bólem. Podniosłem z ziemi rower. Mężczyzna powoli się do mnie zbliżał. Wyglądał zupełnie normalnie, jakby nagle zakończył swoje przedstawienie i zmienił się w inną postać: zdjął maskę szaleńca i przywdział kostium przechodnia.

Pomyślałem, że nadchodzi z pomocą, przecież musiał widzieć ten upadek, słyszeć – cokolwiek. Chciałem coś do niego powiedzieć, wykrzyzczeć, że się zapatrzyłem, zagapiłem, że przez niego upadłem. Chciałem znaleźć winnego, zrationalizować coś, czego do dziś nie potrafię wytłumaczyć. Naprędce wskazać zbliżającego się, przypadkowego świadka i ponieważ sprawcę zajścia, kozła ofiarnego, zrzucić na niego odpowiedzialność, obarczyć winą, a jednocześnie poprosić o pomoc. Jednak kiedy mężczyzna w końcu podszedł do mnie, nie byłem w stanie nic powiedzieć. Słowa nie wybrzmiały, nie wyszły poza kontur spierzchniętych warg, potknęły się o usta i zdziwione zwiędły.

Kuriozalny dla mnie był już sam fakt, że zostałem obrzucony zupełnie trzeźwym, a przy tym na wskroś przenikliwym spojrzeniem. Najdziwniejsze było jednak to, że w oczach mężczyzny nie dostrzegłem ani krzty współczucia, choćby namiastki zaskoczenia, żadnego znaku zapytania, a jedynie jakieś obezwładniające mnie ciepło, prawie radość, szczery uśmiech – ten człowiek najzwyczajniej w świecie się do mnie uśmiechał! Powiodłem za nim ambiwalentnym, prosząco-oskarżycielskim wzrokiem, jakbym chciał przywołać go z powrotem i wymusić odpowiedź na pytanie: „dlaczego?”. Jakbym czuł, że wraz z jego zanikającą postacią oddalają się także moje marzenia, bo oto coraz silniej i wyraźniej, z coraz intensywniej przesłaniającym myśli bólem zaczęła się zaciskać wokół mnie obezwładniająca świadomość, że oto właśnie kończy się jakże niedawno rozpoczęta podróż, że dosłownie przed momentem, wraz z niespodziewanym upadkiem, zakończyła się planowana na dzień miesiąc wędrówka.

Mężczyzna minął mnie szybkim krokiem, nawet nie przystanął, przeszedł jeszcze kilka metrów, obejrzał się na moment za siebie i zniknął za rogiem najbliższego budynku. Wciąż zszokowany i zadziwiony wsiałem na rower i ruszyłem dalej. Opuściłem miasteczko, wyjechałem poza zabudowania, starałem się nie myśleć o nasilającym się bólu, za to próbowałem koncentrować się na samej jeździe, na rytmicznie powtarzających się ruchach, jakbym sam siebie chciał przekonać, że nie stało się nic poważnego, że dam radę pedałować dalej. Muszę tylko zacisnąć zęby i przed wieczorem gdzieś dojechać, odpocząć, rozłożyć namiot, a do następnego ranka o wszystkim zdążyć zapomnieć.

Ten amok trwał dwie, może trzy godziny, w końcu musiałem odpuszczać, przegrałem nierówną walkę z bólem i sztywną nogą, zsiadłem z roweru, przeszedłem kilka metrów i zatrzymałem się obok przydrożnych, bujnie rozrośniętych krzaków jeżyn. Zdjąłem sakwy, rozłożyłem karimatę i położyłem się na rozmięklej ziemi. Odwinąłem nogawkę spodni i dopiero wówczas uważnie przyjrzałem się nodze. Zsiniała i spuchła. Moja

dziewięćdziesięcioletnia babcia mawia: „mam nogi jak banie, mam nogi jak balony”. Pomyślałem, że moja spuchła jeszcze bardziej.

Wyjąłem bandaż elastyczny, dokładnie obwiązałem kolano, zjadłem przygotowaną rankiem w namiocie kanapkę, wypilem resztę wody, wsiadłem z powrotem na rower i przez kolejne dwie godziny pedałowalem dalej, kręcąc w zasadzie jedną nogą, bo drugiej nie byłem już w stanie zgiąć. Nie, nie próbowałem sobie niczego udowadniać – po prostu rozpaczliwie, aż do granicy bólu, uciekałem od myśli, że stało się coś poważnego. Następne trzy dni szwendałem się między wypełniającymi jesienne parki drzewami i ławkami, aż wreszcie wsiadłem w autobus i dojechałem do Seattle, a stamtąd do Portland, do znajomych, u których dwa lata temu byłem piastunem dwóch dorastających dziewczynek. Nie poinformowałem ich, że będę tak wcześnie, bo nie chciałem sprawiać niepotrzebnego kłopotu, zwałć się na głowę ze sztywną nogą, no i naprawdę ciągle łudziłem się, że dam radę dostać się do Portland o własnych siłach, rowerem.

Gościnnie przyjęty, starałem się nadrabiać miną, uspokajając wszystkich dokoła, że czuję się świetnie, bo przecież chodzę całkiem prosto i wcale nie narzekam. Kolano jednak coraz mocniej puchło i coraz bardziej bolało, więc w końcu, po tygodniu, nadszedł czas na wizytę u lekarza. Spotkanie to na dobre rozwiało nadzieję na jakąkolwiek rychłą poprawę.

– Ma pan złamane kolano, jak pan w ogóle chodzi? Proszę natychmiast pojechać do szpitala, trzeba to zoperować – powiedziała lekarka, wskazując palcem widoczną na zdjęciu rentgenowskim prawie przepołowioną rzepkę.

Tak naprawdę nic wielkiego się nie stało – pomyślałem – to tylko rzepka, zagoi się.

Sam nie potrafiłem się zatrzymać, więc ktoś postanowił zrobić to za mnie. Tak w połowie drogi, co pędziła za mną bez wytchnienia. Co od dzieciństwa się ciągnęła, a może i jeszcze dłużej. Być może urodziłem się już z drogą w głowie. Z widokiem siebie w drodze. I tak mi już zostało.

Kup książkę

Poleć książkę

Rozdział pierwszy

Najciężej jest ruszyć. Nie dojść, ale ruszyć. Dać ten pierwszy krok. Bo ten pierwszy krok nie jest krokiem nóg, lecz serca. To serce najpierw rusza, a dopiero nogi za nim zaczynają iść. A na to nie tylko trzeba siły, ale i przeznaczenia, żeby przemóc serce i powiedzieć, to ruszam.

W. Myśliwski, *Widnokrąg*

Są wakacje 1989 roku. Mam kilkanaście lat i jadę rowerem z Łukowa w stronę wschodniej granicy z zamiarem pojechania stamtąd w góry, które podobno znajdują się gdzieś na południu, ale co do istnienia których wcale nie mam żadnej większej pewności.

W tamtym czasie świat był dla mnie czymś nieznanym, a to, co znałem, można było zamknąć w okręgu o promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Za tak określoną granicą był świat. Oczywiście w okręgu też był świat, ale inny, oswojony, w którym w pewnym momencie zaczęło mi brakować powietrza.

Rodzina nie podzielała tej niezbyt normalnej w jej mniemaniu fascynacji włóczęgostwem i nigdzie samego by mnie nie puściła. Wpadłem więc na pomysł, aby zaangażować siły wyższe, rzekłbym, prawie boskie, a co najmniej kościelne. Dorastałem w małej miejscowości, ni to mieście, ni to wsi, w której chodzenie do kościoła było i wciąż pozostaje swego rodzaju imperatywem, niezależnie od tego, czy się wierzy, czy też nie, w przeciwnym razie jest się skazanym na społeczny ostracyzm, więc

dla świętego spokoju chodzą prawie wszyscy, choć z różnych zapewne pobudek.

Tak się złożyło, że był to okres, kiedy służyłem do mszy. Nie, żebym był jakoś nad wyraz pobożny czy wierzący, ale z jednej strony bycie ministrantem nie było aż tak nudne, jak samo stanie i przysypianie między ławkami, a z drugiej zawsze można było zawiesić wzrok na którejś ze śpiewających koleżanek z dziewczęcej scholi, ustawionej naprzeciwko ubranych w wykrochmalone wdzianka młodych chłopców.

Bycie ministrantem ułatwiło więc uknucie intrygi, która zresztą pewnie nie doszłaby do skutku, gdyby nie sama postać księdza (nazwijmy go księdzem K.) i moja pewnego rodzaju z nim zażyłość. Był on z różnych względów księdzem wyjątkowym, choćby z racji tego, że organizował ministrantom wieczorne, weekendowe seanse filmowe. Miał bowiem sprzęt, który jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych był dla przeciętnego Kowalskiego raczej nieosiągalny – odtwarzacz kaset wideo. To właśnie u księdza K., w towarzystwie innych rozpalonych ministrantów, siedząc na kanapie, żując gumę Donald i chrupiąc otrzymane z darów orzeszki w czekoladzie, obejrzałem po raz pierwszy Schwarzeneggera grającego Conana Barbarzyńcę, Sylwestra Stallone w roli Rambo i kopiącego z półobrotu Chucka Norrisa.

Ksiądz K. miał w swoich przebogatych zbiorach bardzo różny repertuar. Oczywiście głównie były to filmy „z branży”, typu *Pielgrzymka do Fatimy* czy *Misja*, ale akurat większość młodych chłopców, przy deficycie komputerów i raczej nieobecnych w telewizji amerykańskich, kapitalistycznych produkcji, pociągały kasowe hity kina akcji, w których napakowani, prawdziwi mężczyźni robili krwawe miazgi ze wszystkiego, co napotkali na swej drodze.

Dzięki wspomnianej wcześniej swego rodzaju poufałości ksiądz K. wiedział o moich rowerowych fascynacjach i wydawałoby się utopijnych, wakacyjnych planach. Pewnego dnia zaproponował, że pójdzie do moich rodziców i powie im, że zabiera mnie na oazę dzieci bożych, a sam pożyczycy

mi swój rower i podrzuci do Włodawy, skąd będę mógł kontynuować podróż na południe Polski. Czy uważał mnie za aż tak dojrzałego? To byłoby co najmniej dziwne, gdyż mając naście lat, byłem najzwyczajniejszym, dość rozwyrzonym gówniarzem, który pojęcia nie miał o niczym, a na tyle, na ile ksiądz K. mnie znał, na pewno wiedział, że raczej nie można mi zaufać i wypuścić samego w rowerową przejażdżkę przez wschodnią i południową Polskę.

Skąd więc ten pomysł? Może sam w dzieciństwie robił podobne rzeczy? Albo początkowo zamierzał pojechać ze mną? Nie wiem i już zapewne nigdy się nie dowiem, ale plan sam w sobie wydawał się przedni. Szczegóły dogadaliśmy po jednej z lekcji religii, na które to zajęcia chodziliśmy całą szkołą przez mały lasek, do specjalnie w tym celu przeznaczonego budynku katechetycznego. Mój udział w oazie miał być przedstawiony rodzicom jako szczególne wyróżnienie za wyjątkowo dobrą i sumienną pracę ministranta.

Ksiądz K. podszedł do sprawy profesjonalnie. Na umówione w moim domu spotkanie przyniósł folder ze zdjęciami ośrodka, do którego to niby miał mnie zabrać, broszurki o samej oazie, zdjęcia uczestników z poprzednich lat, rozpisany, dokładny program pobytu, szczegółowe koszty i inne ciekawostki, które choć do końca nie rozwiały strachu i wątpliwości mojej mamy i babci (ale czy on da radę, czy się nie rozchoruje, czy nie będzie przeszkadzał, bo to urwis i łobuz, i dlaczego żaden kolega ze szkoły z nim nie jedzie?), to mimo wszystko wystarczyły, aby zupełnie szczerze przerażone kobiety udobruchać i przekonać.

Całość była szyta wyjątkowo grubymi niemi i do dziś nie mogę się nadziwić, że wszystko się udało. Swoją drogą ksiądz rzeczywiście organizował w górach jakieś oazy, ale gdzie i z kim – już zupełnie nie pamiętam. Koniec końców nawet nie pojechaliśmy do Włodawy, bo coś tam księdzu wypadło, ale żeby wszystko wyglądało jak należy, w dniu wyjazdu przyjechał do mnie pod dom, dziesięciokrotnie zapewnił mamę i babcię, że nic mi się nie stanie i że odwiezie mnie z powrotem, po czym zapakowaliśmy mój

niewielki plecak i pojechaliśmy na plebanię. Tam wrzuciliśmy jeszcze do bagażnika rower księdza K., namiot i parę dodatkowych drobiazgów, a potem ruszyliśmy na stację kolejową, skąd miałem jechać na wschód.

Stałem na peronie, przestępując z nogi na nogę, ksiądz coś mówił, ale nie pamiętam co, nawet jednego słowa. Pociąg powoli podjeżdżał na niski peron i nagle zacząłem się bać. Chyba pierwszy raz w życiu poczułem taki strach, bo strachy są różne i sobie nierówne, a ten był jakiś nowy i nie wiedziałem właściwie, co było jego źródłem, dlaczego się bałem, a miał taką siłę, że prawie mnie zawrócił, prawie nie wsiadłem do pociągu, prawie zostałem w domu.

Ksiądz chyba wyczytał ten strach w moich oczach, w rozbieganym spojrzeniu, bo objął mnie po przyjacielsku, po ojcowsku niemal i przez moment trwaliśmy w tej terażniejszości, odnajdując się w niej. Poczułem, że za chwilę muszę podjąć decyzję, która jest w jakiś sposób wiążąca i że wyznaczy ona kierunek, w jakim dalej będzie się toczyć moje życie.

Pociąg podjechał, a ja do niego wsiadłem. *And that has made all the difference.*¹

Z pierwszych kilometrów właściwie niewiele pamiętam, poza trudnym do opisania uczuciem nieskrępowanej wolności, wszechogarniającym mnie wrażeniem lekkości, jakbym wcale nie jechał na obładowanym bagażami rowerze, ale unosił się swobodnie nad ziemią. Nagle poczułem, że wszystko jest dokładnie takie, jakie powinno być od zawsze, jakie od zawsze chciałem, aby było.

Pamiętam zapachy drogi – kręcenie w nosie od pylących traw i świeżo zżętego zboża, serwowane z wonią potu i swądem krowiego łajna, będących wystarczająco już nęcącą przystawką do kaszanki, którą pierwszego wieczora dostałem od sołtysa we wsi.

Jechałem na wschód, potem na południe, bez szczególnego celu, bez większego planu, przed siebie. Na niebie świeciło słońce, czasem padał

1) Fragment z wiersza *The Road Not Taken* R. Frosta.

deszcz, na polach falowały łany zbóż, we wsiach pozdrawiali mnie ludzie, pytając, czy się aby nie zgubiłem i gdzie są moi rodzice, a ja im odpowiadałem, że w góry jadę, na oazę dzieci bożych.

Wyciągnąłem przed siebie ufnie rękę i wtedy to się stało. Świat dotknął mnie, a ja dotknąłem świata. *Ten dotyk nigdy już nie znikł z mojej dłoni, mimo że potem nieraz trzymaliśmy się za ręce.*²

2) W. Myśliwski, *Widnokrąg*, Kraków 2007.

Czułem smutek, taki zwyczajny, jaki się czasami czuje, kiedy żegnamy kogoś dopiero co poznanego, podświadomie wiedząc, że ten ktoś odszedł na zawsze, a nam się wydaje, że coś nam umknęło, czegoś w tym krótkim spotkaniu zabrakło i że zaraz, za moment, tych kilka krótkich chwil rozplynie się w niepamięci i teraz już nic nie da się zrobić, aby je ocalić. Może każde takie spotkanie, ci wszyscy przypadkowi ludzie na mojej drodze zabierają jakąś część mnie, a ja zabieram część ich, i jedyne, co po nas pozostaje, to niewyraźne, rozmazane powidoki, w których później, po latach, na próżno usiłujemy siebie odnaleźć.

Mały Piotr ma kilkanaście lat, kiedy po raz pierwszy wybiera się zupełnie sam na rowerową wędrowkę z małej miejscowości Łuków na południe Polski. Podstępem, w pełnej konspiracji, na pożyczonym rowerze, tylko po to, żeby zrealizować kotłujące się od dłuższego czasu w głowie dziecięce marzenia i przekroczyć granicę znanego, oswojonego świata. Dwadzieścia pięć lat później dorosły Piotr ma za sobą tysiące kilometrów przejechanych na jednoślądzie w śniegu i w upale, dziesiątki odwiedzonych krajów na obu półkulach, setki napotkanych na swojej drodze ludzi. *Powidoki* to jego wersja wspomnień z drogi, która cały czas trwa, nawet jeśli trzeba na chwilę się zatrzymać. To opowieść o mijających na szlaku ludziach, których przyjazne słowa i pomocne gesty pamięta się później mniej lub bardziej wyraźnie. To wreszcie zapiski z wyprawy pełnej kolorów, zapachów i dźwięków, które z czasem się rozmywają, ale nigdy nie blakną. Bo najpiękniejsze podróże nigdy się nie kończą.

PATRONI MEDIALNI:



KONTYNENTY

Nr katalogowy: **25079**



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900



Bezdroża

Sprawdź najnowsze promocje:
Ⓢ <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
Ⓢ <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
Ⓢ <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-283-0071-2



9 788328 300712

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**